

## **Europejskie Niemcy czy Niemiecka Europa? - tekst Dariusza Gawina**

Zjednoczona Europa jak każda struktura polityczna potrzebuje swej własnej narracji zakorzenionej w historii. Dokumentem potwierdzającym tę narrację była Deklaracja Berlińska, w której w imieniu Europejczyków napisano, iż integracja europejska „oznacza, że wyciągnęliśmy naukę z krwawych konfliktów i bolesnej historii”. Innymi słowy zjednoczona Europa powstała po to, aby przezwyciężyć złe dziedzictwo nacjonalizmów i wojen toczonych ich imię.

Zjednoczona Europa jak każda struktura polityczna potrzebuje swej własnej narracji zakorzenionej w historii. Dokumentem potwierdzającym tę narrację była Deklaracja Berlińska, w której w imieniu Europejczyków napisano, iż integracja europejska „oznacza, że wyciągnęliśmy naukę z krwawych konfliktów i bolesnej historii”. Innymi słowy zjednoczona Europa powstała po to, aby przezwyciężyć złe dziedzictwo nacjonalizmów i wojen toczonych ich imię.

Czy jednak rzeczywiście idea europejska narodziła się dlatego, że hiszpańscy Habsburgowie toczyli krwawe wojny z Holendrami na przełomie XVI i XVII wieku albo dlatego, że Anglicy próbowali podbić Francję w czasie wojny stuletniej? Oczywiście nie - zjednoczona Europa

powstała dlatego, że w XX wieku Niemcy wywołały dwie wojny światowe, które spowodowały zniszczenia i ludzkie cierpienia na skalę niespotykaną dotąd w dziejach.

Projekt europejski stanowił zatem odpowiedź na pytanie, jak związać Niemcy z Europą, aby nie doszło nigdy do powtórzenia straszliwego scenariusza znanego z wieku XX-tego. Słowo „związać” ma przy tym tutaj podwójne znaczenie – związać, czyli połączyć pokojowo z resztą Europy, oraz związać, czyli obezwładnić, odsunąć raz na zawsze groźbę niemieckiej dominacji.

To dlatego pod amerykańską kuratelą i przy współudziale europejskich Ojców Założycieli powstały europejskie Niemcy, państwo wsparte na solidnych demokratycznych fundamentach, włączane stopniowo w struktury europejskiej współpracy oraz zachodniego bezpieczeństwa, świadome swej odpowiedzialności zarówno za własną przeszłość jak i za wspólną europejską przyszłość. Krocząc tą właśnie drogą, wytyczoną przez kanclerza Adenaura, europejskie Niemcy odbudowały swoją pozycję i stały się jednocześnie krajem kluczowym dla całego procesu europejskiej integracji. Zdecydowaną cezurą dla tego okresu historii był upadek muru berlińskiego i zjednoczenie Niemiec. Definitywnym zaś jej końcem stało się odejście z urzędu kanclerskiego Helmuta Kohla w 1998 roku i objęcie rządów przez Gerharda Schrödera. Rozpoczęła się wtedy nowa epoka niemieckiej historii. Kohl był politykiem należącym

do pokolenia, które rozumiało i akceptowało ograniczenia, jakie na Niemcy nakładała odpowiedzialność za przeszłość. Schroder reprezentował w polityce nowe podejście do tych kwestii. Do rangi symbolu urasta fakt, iż decyzję o nadaniu Berlinowi statusu stolicy zjednoczonych Niemiec z 1991 wprowadzono w życie w roku 1999, kiedy to siedziby władz centralnych przeniosły się z Bonn nad Szprewę. Kończyła się epoka jednoznacznie europejskich Niemiec. Rozpocząła się nowa – Niemiec, które w coraz większym stopniu uznają nie tylko, iż przezwyciężyły dziedzictwo przeszłości, lecz także, iż mogą w oparciu o ten sukces zachowywać się jak normalne europejskie państwo.

Problem polega na tym, że Niemcy nie są „normalnym” europejskim państwem – i nie chodzi tu bynajmniej o ich przeszłość. Chodzi przede wszystkim o ich skalę – największe i najsilniejsze gospodarczo państwo Unii nigdy nie będzie po prostu „normalne”, zawsze będzie posiadało szczególną pozycję. Polityka niemiecka, zapoczątkowana przez kanclerza Schrodera, kontynuowana jak się wydaje pod rządami Angeli Merkel zmierza do tego, aby wyciągnąć polityczne konsekwencje ze skali nowych, zjednoczonych Niemiec – jej celem jest trwałe przywództwo Niemiec w Europie. Czy jesteśmy zatem świadkami przejście od epoki europejskich Niemiec, od tradycji bońskiej republiki, do epoki niemieckiej Europy ze stolicą w Berlinie?

Założmy, że tak właśnie się dzieje – co to oznacza zarówno dla procesu integracji, jak również dla Polski? Po pierwsze jest to odwrócenie europejskiej logiki. Jeśli po 1945 rokiem podstawowy problem Ojców Założycieli nowej zjednoczonej Europy sprowadzał się do kwestii jak związać Niemcy z Europą, to teraz chodziłoby raczej o to, jak związać Europę z Berlinem. Również przy zachowaniu całej wieloznaczności słowa „związać”. Po drugie – proces integracji oraz sama Unia stają się w tej nowej perspektywie instrumentem realizowania celów polityki niemieckiej w stopniu znacznie większym niż to jest w stanie przyznać Paryż, Londyn czy inne stolice europejskie. Rodzi to naturalne pytanie, czy przywództwo bezdyskusyjnie najsilniejszego kraju Unii może przerodzić się w dominację? I czy Europa jest na to gotowa?

Osobiście uważam, iż taki rozwój wypadków – traktowany na razie jako hipotetyczny – spowoduje opór. Często słychać głosy, które z nutą fatalizmu głoszą tezę, iż Europejczycy już się „pogodzili” z nieuchronnością tego scenariusza. Wydaje się jednak, że są to opinie przedwcześnie. Prawda, gra o europejską stawkę toczy się w zasadzie w gronie kilku najsilniejszych państw – słabsze zawsze podążą za tym, kto zwycięży. Trzeba też przyznać, że polityka niemiecka znakomicie wykorzystała sposobność, jaką stworzyło dla niej względne osłabienie Francji pogrążonej w marazmie ostatnich lat prezydentury Jacquesa Chiraca, nieoczekiwana utrata władzy przez prawicę w Hiszpanii po zamachach bombowych w Madrycie w 2004 roku czy kłopoty premiera Blaira spowodowane rosnącymi politycznymi kosztami brytyjskiego zaangażowania w Iraku. Jednak zwycięstwo Nicolasa Sarkozy’ego w wyborach prezydenckich oznacza powrót tradycyjnego czynnika kształtującego proces integracji – francuskiej ambicji do przewodzenia.

Najbliższe dni pokażą jaki jest rzeczywisty stopień determinacji Paryża, aby znów skierować francuską politykę na drogę, którą niegdyś kroczył generał de Gaulle.

Dla sprawy ewentualnego przywództwa Niemiec w Europie istotne wydaje się również to, co dzieje się w Warszawie. Polska z pewnością nie jest tym krajem, który łatwo „pogodzi” się z nieuchronnością takiego rozwoju wypadków. Nie chodzi tu przy tym tylko o rzekomą polską fobię antyniemiecką, o rzekome przewrażliwienie wynikające z traumatycznej historii, o polski nacjonalizm – to są nazbyt łatwe, powierzchowne argumenty, którymi posługują się często niemieccy komentatorzy i politycy, gdy chcą zbyć bez żadnych prób poważnej debaty polskie stanowisko. Naturalnie Polacy mają swoje oczywiste historyczne powody, dla których trudno im beznamiętnie zaakceptować wizję niemieckiego przywództwa. Polski opór wynika jednak w istocie z o wiele głębszych przyczyn.

Istotę całej sprawy najlepiej widać w konflikcie dotyczącym sposobu podejmowania decyzji w Unii, sprawie którą ma rozstrzygnąć nowy traktat konstytucyjny. W sporze tym uwidacznia się kwestia nowej logiki politycznej Europy, którą chce przeforsować Berlin i na którą nie chce zgodzić się Warszawa. Często mówi się, że upór Polski przy tej kwestii jest dziwny, bo mechanizmy głosowań stosuje się rzadko, pozostawiając problem wypracowania decyzji skomplikowanym

procedurom stopniowego dochodzenia do kompromisu. Ale ten argument łatwo daje się odwrócić: jeśli tak jest w istocie, to czemu Niemcy tak bardzo upierają się przy proponowanych w traktacie rozwiązaniach? Niemiecki upór rodzi przypuszczenie, że Berlin doskonale wie to samo, co wie Warszawa – że prawdziwą stawką jest tutaj zdolność do kontrolowania elementu polityczności w Unii. Tak, to prawda, na co dzień polityczność skrywa się pod retoryką transnarodowej Europy budowanej w opozycji do logiki rządzącej dawnym światem państw narodowych. Ale choć formy polityczności zmieniają się, choć wypierana jest ona do coraz bardziej izolowanych nisz i tak pozostaje jej dostatecznie dużo, aby raz na jakiś czas w akcie głosowania silniejsi mogli powiedzieć: będzie tak jak my chcemy, ponieważ mamy za sobą większość. Nie jest tu ważne, jak często do takiej sytuacji będzie dochodzić – zarówno dla Berlina jak i dla Warszawy jest jasne, że prędzej czy później do tego dojść musi. I wobec tego trzeba zawczasu jak najlepiej przygotować się na taką ewentualność.

Nie o samą mechanikę władzy zresztą tu chodzi – właściwą płaszczyzną sporu jest wytyczenie kierunku rozwoju Europy. Zwolennicy zasady podwójnej większości podnoszą argument odwołujący się do zasady demokracji – Niemcy są rzeczywiście największym krajem, stąd należy się im znacząca poprawa ich pozycji w stosunku do ustaleń z Nicei. Forsowanie zasady demokracji osłabia jednak ten element wspólnej Europy, który był konstytutywny dla niej w przeszłości – osłabia federalistyczną filozofię Europy. W demokracji jeden obywatel to jeden głos. W tworach federacyjnych ta logika nie działa – istotą każdej federacji jest wzmacnianie słabszych i osłabianie silniejszych. Polacy

dobrze tę zasadę znają z własnej historii – w I Rzeczypospolitej Korona była o wiele silniejsza od Wielkiego Księstwa Litewskiego, jednak państwo posiadało dualistyczną strukturę aż do Konstytucji 3 Maja, która ów dualizm zniosła. Upór Berlina przy zasadzie podwójnej większości, tak jak wygląda ona dzisiaj, oznacza znaczące wzmocnienie elementu demokratycznego w Unii a co za tym idzie osłabienie istoty federacyjnego kompromisu, na którym zbudowana została europejska wspólnota narodów małych i dużych. Nowe zasady dają przewagę krajom dużym, w tym przede wszystkim największemu spośród nich – Niemcom. Stanowisko Niemiec ułatwia przyszłą homogenizację Unii, jak również zwiększa szanse na zajęcie przez Niemcy dominującej pozycji w europejskiej polityce. Na tym polega paradoks całej sytuacji – to Warszawa, oskarżana o egoizm, broni w istocie zasad fundamentalnych dla Europy zaś Berlin, który tyle prawi o korzyściach, jakie z zasady podwójnej większości odniesie cała Unia, w istocie forsują swój własny narodowy interes. Spór pomiędzy Warszawą a Berlinem oczyszczony z wzajemnych stereotypów i uprzedzeń, którym często daje się wyraz po obu jego stronach w trakcie publicystycznych utarczek, okazuje się w istocie sporem o kluczowym znaczeniu dla przyszłości Europy.

*Granice demokracji liberalnej*, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2007.  
więcej